

AGNIESZKA
JEŻ



TOM 3

SAGA RODZINY

POŁAKOWSKICH

NIEUCHRONNY
ZMIERZCH



AGNIESZKA
JEŻ

TOM 3

SAGA RODZINY

POLAKOWSKICH

NIEUCHRONNY
ZMIERZCH



Redaktorka prowadząca: Ewelina Czajkowska
Wydawczyni: Monika Rossiter
Redakcja: Lena Marciniak-Cąkała
Korekta: Paulina Kawka
Projekt okładki: Urszula Gireń
Zdjęcia na okładce: © Stylish_Pics / Shutterstock.com; © Andris;
© tong2530/ Stock.Adobe.com; © Narodowe Archiwum Cyfrowe
DTP: pagegraph.pl

Copyright © 2024 by Agnieszka Jeż

Copyright © 2024, Wydawnictwo Kobiectwo Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I
Białystok 2024
ISBN 978-83-8371-012-9

Grupa Wydawnictwo Kobiectwo | www.WydawnictwoKobiectwo.pl



Rozdział 1

Warszawa, jesień 1956 roku

– Wszystko będzie dobrze.

Ela obróciła się w stronę siostry. Siedziały razem w kuchni; tylko one dwie. Dzieci już spały, Krzysiek poszedł na jakieś spotkanie, a Marian był w pracy.

Wreszcie miały czas tylko dla siebie. I to na ostatniej prostej, ponieważ następnego dnia Zosia wracała do Wielkiej Brytanii.

Obie deklarowały, że cieszą się na taką okazję spokojnej rozmowy, ale gdy wreszcie usiadły przy kwadratowym stole, zastawionym dużo za dużą ilością jedzenia, przy którym Ela krzątała się przez dwie ostatnie godziny, zapadła cisza.

Wcześniej zagłuszały ją stukające garnki, bulgocząca zupa, szum wody, trzask drzwiczek kuchennych. I ich rwane rozmowy, a raczej krótkie wymiany zdań na tematy kucharskie.

Teraz tego nie było, za to były one dwie.

Ela zaproponowała, żeby przeszły do dużego pokoju. „Tu jest dobrze”, odparła Zosia. Ela tak miała, lubiła to miejsce, bo lubiła gotować, wolałaby jednak, żeby siostra zapamiętała ją w innej roli. Odświeżonej, wśród ładnych dekoracji, z widokiem

na świeżo umyte okna i wykrochmalone firanki. Ale Zosia nie chciała.

I w ogóle tak jakoś...

Ela bała się tej wizyty. Od ich rozłąki minęło kilka lat, a ona miała poczucie, jakby to była co najmniej dekada albo jeszcze więcej. Zawsze się różniły, ale kiedyś, gdy żyły w domu rodzinnym, ich wzajemne dopasowywanie się do jego klimatu zacierało te różnice.

Teraz ten dom był tylko wspomnieniem, tak mglistym, jak dzisiejszy wieczór.

Ela starała się, żeby Zosi było u niej dobrze. Dbała o nią, jak o każdego gościa, ale dochodziło do tego coś jeszcze – chęć, by Zosia wyjechała z Polski z przeświadczeniem, że Ela ma tu dobre życie. Na poziomie. Że się jej udało – choć jest młodsza i zawsze była tą gorszą, nie tak piękną, nie tak mądrą. Oczywiście, że nikt tego nie mówił, ale to się czuło. I to była zadra w sercu Eli; z czasem otorbiona, zarośnięta, ale niekiedy dająca o sobie znać.

Na przykład wtedy, gdy Zosia postawiła nogę na peronie. Piękna, od razu wyróżniała się w tłumie. Zupełnie jakby w socjalistycznej Polsce odrodziła się sanacja – ten sznyt, ten wdzięk, ta... wyższość. Zosia nie przyjmowała takiej pozy – ona po prostu taka się urodziła.

Ela co innego dostała w spadku po przodkach. Zosia wzięła to, co najlepsze po kądzieli. Eli dostała się linia miecza – i to takiego wyszczerbionego, niezachęcającego do walki.

O nic nie walczyła, w niczym się nie spalała. Brała, co życie dawało. Owszem, dopinała swego, jeśli chodziło o pewne sprawy – na przykład o studia. Postanowiła, że skoro ma już maturę, to będzie się uczyła. Jeszcze rok wcześniej byłoby to

niemożliwe, bo jak dojeżdżać do Łodzi czy Torunia, ale od tego roku i w Warszawie uruchomiono Studium Nauczycielskie. A także Zaoczne Studium Nauczycielskie Pedagogiki Specjalnej. Ela wybrała to drugie, ponieważ na studia stacjonarne nie miała warunków. Alinka dopiero co poszła do przedszkola, więc co i rusz jakieś choroby. A Andrzejek ledwo w drugiej klasie. „Dzieci potrzebują matki”, powiedział Marian. Odparła, że w takim razie będzie się uczyć zaocznie. Skrzywił się, kiedy to usłyszał. „To co z dziećmi będzie? Przecież wtedy akurat w domu zostaną”, zapytał. „Dasz radę”. I pocałowała go. To zawsze działało. Wtedy też. Dołożyła jeszcze na zachętę, że Krzysiek pomoże. Marian wątpił – że studia, że jak nie Kaśka, to inne panienki będą, ale Ela widziała, że brat naprawdę lubił siostrzeńców. A z Kaśką się chyba rozstał i żadnej innej nie było na horyzoncie. I jakoś szło, choć dopiero minęły niecałe trzy miesiące takiej nauki. Marian nawet na nią nie wyrzekał, choć nie był szczęśliwy z takiego obrotu spraw. To nie było popularne w jego środowisku, żeby dzieci niańczyć. Choć ostatnio Marian rzadziej wychodził z kolegami. Komórka, w której pracował, ulegała rozformowaniu. Tyle jej powiedział. Co dalej? „Niech cię o to śliczna głowa nie boli”. Konsekwentnie trzymał ją na dystans od swoich spraw zawodowych.

Jednak mimo tych różnych zawirowań Ela czuła, że znajduje się w dobrym miejscu. Niczego by w swoim życiu nie zmieniła; a już na pewno nie Mariana. Trafili na siebie, była o tym przekonana.

I jednocześnie nie czuła, żeby podobnie było z Zosią i Janem.

Nie, Zosia niczego takiego nie powiedziała. Zosia w ogóle była oszczędna w słowach. Zachowywała się „z klasą”; zdecydowanie przedwojennie, bo teraz klasa to była robotnicza,

i warunki zupełnie inne. A jednak Ela odnosiła wrażenie, że angielskie życie Białych nie płynie spokojnym, dobrym nurtem.

I nawet zdążyło być jej z tego powodu wstyd, ponieważ kiedyś zazdrościła siostrze, że ona już ma swojego wymarzonego chłopca, a na palcu pierścioneł zaręczynowy mamy. Ten, którego Marian nie chciał w podzięce za uratowanie życia Zosi.

Było, minęło.

Podobnie jak ich bliska relacja.

A jednak teraz, na kilkanaście godzin przed rozstaniem, Ela poczuła, że powinny się do siebie zbliżyć. Impulsem było wypowiedziane przez Zosię zdanie: „Zobaczymy, jak to wszystko będzie”.

I dlatego Ela powiedziała to, co powiedziała.

– Słucham? – Zosia spojrziała na nią.

– Powiedziałam, że będzie dobrze.

– No, będzie... Ale dlaczego teraz to do ciebie przyszło?

Ela spojrziała na siostrę. Fakt, Zosia wyartykułowała to cicho, siedząc bokiem do niej, ale nawet jeśli mówiła to do siebie, brała chyba pod uwagę fakt, że Ela ją usłyszy.

– Bo przecież to ty wcześniej powiedziałaś: „Zobaczymy, jak to wszystko będzie”.

– Ja? – Zosia się spieszyła. – Naprawdę?

Ela dałaby sobie za to rękę uciąć, ale nagle zyskała pewność, że u siostry naprawdę nie wszystko jest tak, jak być powinno. I że może ją o to zapytać tylko nie wprost.

– No to może mi się przesłyszało. Cały dzień z dziećmi, a wczoraj i przedwczoraj na wykładach. Już sama nie wiem, co na zewnątrz, a co w mojej głowie. – Uśmiechnęła się.

Potrafiła się tak uspokajająco uśmiechać – przećwiczyła to na Marianie.

– Dzieci potrafią dać w kość. – Zosia też ułożyła usta do uśmiechu. – Ale i tak ci zazdroszczę.

– Och! – Ela przykryła jej dłoń.

Nie mówiły o tym. Ela przytuliła siostrę, gdy ta przywitała się z Andrzejkiem i Alinką, dała im prezenty, a potem zaszklily się jej oczy. Wiedziała, że Zosia pochowała małą Anię, a wcześniej roniła kilka ciąż. Ponieważ jednak siostra nie zaczynała tego tematu, Ela również się na to nie odważyła. Ale skoro teraz jest sposobność, a jutro Zosi już nie będzie...

– Uda ci się, zobaczysz. Czasem po prostu sprawy nie dzieją się od razu. A czasem rodzą się takie dzieci, że... – Urwała. Widziała już takie przypadki na swoich studiach. Opowiadała o nich mężowi. „Kiedyś to takie dzieci były na zatracenie. Albo po prostu się chowały, trochę jak zwierzęta, nikt się nimi nie przejmował, no bo co tu zrobić?”, skomentował Marian. Dziwił się Eli, że ona się na taką naukę, a potem na taką pracę pisze. A Ela, początkowo nieprzekonana, teraz zaczynała czuć, że to wszystko ma sens. Żał jej był tych dzieciaków, zwłaszcza że duża grupa to sieroty albo porzucone. Uczciwie jednak musiała przyznać, że opieka nad nimi w domu to cały etat, a właściwe dwa lub trzy. Zosia by temu nie podołała. Jan też nie, bo to był człowiek, który zawsze miał przed sobą jakiś cel. Dobrze się więc stało, że organizm sam zdecydował, by ciążę wydalić.

– Ja bym każde pokochała. Każde. – W głosie Zosi zabrzmiała stanowczość.

– Tak, pewnie tak, ale zobaczysz, jak to będzie, kiedy w końcu dostaniesz w ramiona zdrowe dziecko. Tego się nie da porównać z niczym.

– Nie dostanę. Już nigdy nie będę miała dzieci. – Zosia patrzyła jej w oczy.

– Ale jak to? – Ela jakby obuchem w głowę dostała. Nie była przygotowana na taką odpowiedź.

– Ano tak. Nie mam już macicy. Jestem wytrzebiona. Pusta. Niepełna.

– Zosiu, dlaczego mi nie powiedziałaś? Nie napisałaś? – Ela była wstrząśnięta.

– A myślisz, że to łatwe? – Zosia zachowywała spokój tylko z pozoru.

– Nie, zupełnie tak nie myślę.

– Ale jesteś matką, masz dwoje dzieci. Nie, to mój dramat, mój ból, nie chciałam obarczać nim także ciebie. Zresztą to już za mną. Już sobie to ułożyłam w głowie. Będę mieć inne życie, postaram się, żeby nie gorsze. I pomyślałam sobie, że skoro już tak jest, to może żeby wypełnić tę lukę, choć nie tylko dlatego, zaprosiłabym do siebie Krzyśka. Tak na dłużej.

Ela się wyprostowała. Trudno było jej wyobrazić sobie rozstanie z bratem. Ich relacja była bardzo bliska. Macierzyństwo mieszało się tu z siostrzano-braterskimi uczuciami. A poza tym Ela po prostu Krzyśka lubiła. Był dowcipny, mądry, inteligentny. Dobry wzór dla dzieciaków, których ojciec wiecznie jak nie w pracy, to myślami przy niej. Nie, nie chciałyby, żeby Krzyś zniknął z jej życia.

– Ale on dopiero zaczął studia – zaoponowała delikatnie.

– To zawsze można zawiesić, odwiesić, zresztą język zna już całkiem dobrze, mógłby i w Anglii studiować. Pomyśl, jaka by go wtedy czekała przyszłość.

– Tu chyba też nie najgorsza.

Teraz Ela broniła nie tylko swoich interesów.

– Elu, jaka przyszłość czeka naród, kiedy na jego czele stoi ślusarz? – Zosia się uśmiechnęła i pokręciła głową.

– Może i ślusarz, ale ludzie go akceptują. Wiesz, że się modlili za niego, jak do Moskwy jechał? Dobrze dba o nasze interesy. I to, że jest z ludu, w tym pomaga. Gomulka zna problemy zwykłych, prostych ludzi.

– Mnie się wydaje, że rządzić powinni wykształceni. Wtedy ogład jest inny, pełniejszy. Sama dobra wola, nawet jeśli jest, nie wystarczy. – W tej wypowiedzi była cała Zosia – porządna, konserwatywna, niedzisiejsza.

Ela próbowała się powstrzymać, ale czuła, jak rośnie w niej napięcie.

– Marian też z ludu. Prosty chłopak ze wsi. A popatrz, jak się stara. I jak mu wychodzi. Gdyby nie te zmiany, dalej by krowy pasał. Nowa Polska dała mu zupełnie inne możliwości.

– Temu nie zaprzeczam. Ale jednocześnie ta sama Polska niszczy tych wszystkich, którzy z miłości do niej przelewali krew, a teraz uznawani są za siły antyreakcyjne i antyludowe. A nie za patriotów! – Zosia uderzyła ręką w stół.

Obie na dłuższą chwilę zamilkły. Pierwsza odezwała się Ela:

– Zosiu, nie chcę w takim nastroju ostatnich wspólnych godzin spędzać. Kto wie, kiedy znowu się zobaczymy? Różnimy się, to wcale nie musi być złe. Łączą nas jednak krew i wspólnota, bardzo trudny czas, który przetrwałyśmy, bo byłyśmy sobie bliskie i życzliwe. Jedna dla drugiej wszystko by zrobiła.

Zosia pokiwała głową. Tak było. Tyle że Zosia zawsze w poczuciu, no niech będzie – wyższości. Ale przecież usprawiedliwionym, bo w końcu starsza i rozsądniejsza od Eli. Trudno było jej teraz zaakceptować, że los mógłby zrobić fikołka i więcej dać jej młodszej siostrze. I to przy kim! Marian nie był chyba złym człowiekiem. Gościł ją miło, choć w stylu zastaw się, a postaw się. Tyle że on nie musiał niczego zastawiać,

bo miał – dostęp i możliwości. I taka to była ta socjalistyczna równość.

Wzięła głębszy oddech. Ela w jednym miała rację – nie warto psuć tego, co udało im się jakoś przywrócić. Zwłaszcza że Zosi naprawdę zależało na tym, żeby ściągnąć do siebie Krzyska, a brat zżył się z Elą. I w jednym trzeba było oddać jej sprawiedliwość – mimo braku odpowiednich wzorców Krzysiek świetnie sobie poradził w szkole i pięknie się dostał na studia. I myślał prawidłowo. Patriotycznie – w dawnym, dobrym rozumieniu tego słowa.

– Masz rację. Szukajmy wspólnego. Wciąż przecież jest. – Teraz to ona położyła dłoń na dłoni siostry. – A co do Krzysia...

Ela się napięła, ale Zosia ciągnęła dalej miłym, spokojnym głosem:

– Wiesz, ja myślę, że poznawanie nowego bardzo rozwija. Krzys by też podszkolił język, wierzę, że przyjdą czasy, kiedy nie tylko rosyjski będzie przydatny. No i wreszcie... – Zawiesiła głos. – Byłby takim ersatzem tego, czym natura nas nie obdarowała. Nie mamy dzieci, a przecież to spoiwo potrzebne w każdym małżeństwie. Nie, u nas nie ma tego problemu, żeby to miał być powód do rozstania, bo przecież dobra, prawdziwa miłość wszystko przezwycięży, ale obecność Krzysia podziałyby ożywczo. Miałby na pewno wspólne pasje z Jankiem, a mógłby komuś przekazać to, co zgromadził – wiedzę, doświadczenie, dobrobyt.

Ela pokiwała głową. W tym, co Zosia mówiła, była prawda. Było też, to Ela poczuła, branie pod włos. Jak odmówić komuś, kto ma dużo, ale nie ma tego – dla kobiety – najważniejszego? Marian nie będzie zadowolony, pewnie bardziej ze względów zawodowych i tego, co myśli, ale jeśli Krzys chce – a chciał,

widziała to, to niech jedzie. No i przecież jest dorosły, sam może o sobie decydować, nikt mu nie zabroni. Chyba że...

– Masz rację. Mnie po prostu będzie smutno, jak to kwoce, która musi rozłożyć skrzydła. Jedno tylko trzeba będzie załatwić: paszport. I...

– No o to z pozycją Mariana chyba nie będzie trudno? – weszła jej w słowo Zosia.

Nim Ela zdążyła pomyśleć, że przecież jego pozycja to przeszkoda w załatwianiu paszportu, usłyszała:

– A o co? – Marian wyrósł w progu kuchni. Żadna z nich go nie usłyszała.

– A, zaraz opowiemy, prawda, Elu? A na początek może... – Zosia postukała paznokciem w butelkę wina.

Ela, wznosząc kieliszek do toastu: „Za nas”, pomyślała, że każdy sposób jest dobry, by kleić to, co się rozpadło i słabo do siebie pasuje.

* * *

Peterborough, jesień 1956 roku

Kocham Cię – tak jak się kocha bliskiego sobie człowieka, z którym się przeżyło wiele i na tamten czas te przeżycia były spajające. Jednocześnie jednak nie ma we mnie tej miłości, która trzyma mężczyznę przy kobiecie. Długo się zastanawiałem, czy to nie jest po prostu wymówka. Bardzo długo. I doszedłem do wniosku, że jednak nie.

Zosiu, Zosińko, Zośku! Nie chcę Cię ranić, jestem ostatnią osobą na tym świecie, która by chciała, abys

cierpiała. I pierwszą, która pragnęłaby Ci oszczędzić tego cierpienia, ale...

Przeszliśmy piekło, oboje. Wielu, wielu Polaków, wśród nich my. Po tym wszystkim, czego doznaliśmy, człowiek oczekuje dobra – w końcu po coś to było, prawda? Jaki byłby inny sens cierpienia?

Straciłem Ojca. Straciłem Ojczyznę. Straciłem wiele złudzeń.

Nie mogę, nie chcę tracić więcej.

Może jest w tym egoizm, ale przecież oprócz kultury jest w nas natura. Trzymałem ją w ryzach długo, lecz mam czterdzieści trzy lata. Dawniej to byłoby aż czterdzieści trzy, ale teraz można myśleć, że to siła wieku.

Nie chcę Cię ranić, ale ostatnie miesiące, a nawet lata czułem się u nas w domu jak w grobowcu. Szanuję Twój ból, po części go podzielam, ale nie chcę się dawać pochować za życia. Chcę żyć, Zosiu. Czuć, że żyję.

Bardzo, bardzo Cię przepraszam, bo na pewno zadaję Ci ból. Pamiętaj jednak, że zawsze masz we mnie przyjaciela. Zawsze, pod każdym względem. Szczerego przyjaciela – szczerłość, choć bywa bolesna, jest bezcenna. Gdybyś potrzebowała jakiegokolwiek pomocy, odzywaj się. Na dole kartki zostawiam Ci adres i telefon.

Na razie, i tak długo aż to będzie konieczne, będę Ci przysyłał co miesiąc pieniądze – na utrzymanie domu.

Za jakiś czas, gdy emocje opadną, trzeba będzie sfinalizować nasze rozstanie. Nie mam zamiaru ukrywać, że w moim życiu ktoś jest. To byłoby nieuczciwe. Zależy mi zatem, żeby sprawy formalne były zgodne ze stanem faktycznym.

*Kończę, Zosiu, dziękując Ci za wszystkie wspólne lata.
Nie piszę „żegnaj”, tylko „do zobaczenia, do usłyszenia”.*

*Niech Ci się wiedzie jak najlepiej
Janek*

Zosia stała z listem w ręku.

Czytała go czwarty, a może piąty raz. I wciąż nie potrafiła zrozumieć. Dlatego po raz kolejny dokonała lektury na głos. Słyszała teraz swoje słowa – chłodne, ostre, bezlitosne.

On ją zostawił. Jan ją zostawił. Ten sam Jan, z którym przeżyła wszystko. I z którym nie przeżyła macierzyństwa, rodzicielstwa. Ten Jan, który wobec najbliższych, księdza i Boga słubował, że będzie przy niej po kres ziemskiego życia, w zdrowiu i chorobie.

Jej Jan nie był już jej. Nie, jej Jan miał kogoś.

A ona została sama – w tym chłodnym domu, otoczona zapadającym zmrokiem, w obcym kraju. Bez nadziei.

Jak strasznie to bolało! Ból był prawdziwy, fizyczny. Poczowała lepkość pod palcami. Spojrzała w dół i zobaczyła krwawe smugi na swoich przedramionach. Krew zlewała się kolorystycznie z paznokciami, którymi sama zadała sobie te rany.

Przez chwilę jeszcze stała nieruchomo, a potem zaczęła płakać.

Nie miała pojęcia, ile to trwało, ale kiedy się przecknęła, leżąc na dywanie, był już ranek.

Zaczął się kolejny dzień. Świat się nie zatrzymał, nie skończył.

Ona także wciąż żyła.

Niestety.



Sięgnij po więcej!



 www.wydawnictwokobiece.pl

 [kobiece](https://www.facebook.com/kobiece)

 [wydawnictwo.kobiece](https://www.instagram.com/wydawnictwo.kobiece)